

Stefan Zweig: Świat wczorajszy. Pierwsze chwile wojny 1914 roku

Pewnego dnia ktoś zapukał do moich drzwi. Jakiś żołnierz stał u progu, trochę jakby niezdecydowany. Wystraszyłem się: Rilke – Rainer Maria Rilke w mundurze wojskowym! Był wzruszająco nieporadny; uwierzył go ciasny kołnierz, a gnębiła myśl, że będzie musiał salutować każdemu oficerowi i trzaskać przy tym obcasami – wspominał austriacki poeta Stefan Zweig.

Taka już jest natura ludzka, iż silne uczucia nie dadzą się przedłużyć w nieskończoność ani u poszczególnej osoby, ani u całych narodów – wiedzą o tym organizacje militarne. Potrzebują więc sztucznych bodźców, ustawicznego dopingu, podniety – i tę służbę ustawicznego zagrzewania i podżegania mieli pełnić – w dobrej lub złej wierze, uczciwie czy tylko z fachową rutyną – intelektualiści, poeci, literaci i dziennikarze. Ich zadaniem było walić w bęben nienawiści – walili więc z taką siłą, że każdemu, kto był bezstronny, dzwoniło w uszach i zamierało serce. Prawie wszyscy oni w Niemczech, we Francji, we Włoszech, w Belgii szli na służbę „propagandy wojennej”, przyczyniając się w ten sposób do masowego szaleństwa i masowej nienawiści – zamiast do zwalczania wojny.

Skutki były przerażające. W owych czasach, kiedy propaganda jeszcze nie została tak zużyta i wyświechtana w okresie pokojowym, ludzie wierzyli święcie, mimo tysiącznych rozczarowań, iż to, co

wydrukowane, jest prawdziwe. Tak więc czysty, piękny, ofiarny entuzjazm pierwszych dni zaczął się stopniowo przeobrażać w orgię najgorszych, najgłupszych uczuć. Zwalczano Francję i Anglię w Wiedniu i w Berlinie, na Ringstrasse i na Friedrichstrasse, co było oczywiście najwygodniejsze. Ze sklepów usuwano francuskie i angielskie napisy, nawet klasztor „Zu den Englischen Fraulein” musiał zmienić nazwę, gdyż ta drażniła naród, który nie wiedział, iż englisch oznacza „anielski”, a nie „angielski”. Na kopertach poczciwi kupcy przyklejali nalepki lub przybijali pieczętki z napisem „Gott strafe England”[1]!, panie z towarzystwa przysięgały (i pisały o tym do gazet w listach od czytelników), że do końca życia nie powiedzą ani słowa po francusku. Szekspira wygnano ze scen niemieckich, Mozarta i Wagnera z francuskich i angielskich sal koncertowych. Niemieccy profesorowie oświadczyli „że Dante był germańskiego pochodzenia, francuscy zaś, że Beethoven był Belgiem. Rekwirowano dobra duchowe i kulturalne z nieprzyjacielskich krajów tak samo bezwzględnie jak zboże i rudę. Nie dość, iż dzień w dzień tysiące spokojnych obywateli zadawało sobie nawzajem śmierć na frontach — jeszcze i w głębi kraju oczerniano i spotwarzano wielkich zmarłych synów wrogiego narodu, leżących spokojnie od setek lat w swych grobach. Zamęt w umysłach dochodził do coraz większych absurdów. Kucharka, która nigdy nie wysadzała nosa poza swoje miasto i od czasu szkoły powszechnej nie otwierała atlasu, oświadczała, że Austria nie może żyć bez Sandzaku (małej miejsciny pogranicznej gdzieś w Bośni). Dorożkarze kłócili się na ulicy, jakie reparacje wojenne: trzeba będzie nałożyć na Francję, pięćdziesiąt czy sto miliardów, chociaż żaden z nich nie wiedział, ile to jest miliard. Nie było miasta, nie było grupy nie opanowanych tą straszliwą histerią nienawiści. Duchowieństwo wygłaszało kazania ze stóp ołtarzy, socjaldemokraci, którzy jeszcze miesiąc temu piętnowali militarystykę jako największą zbrodnię, hałasowali chyba najgłośniej, żeby nie uchodzić, według określenia cesarza Wilhelma II, za „ludzi bez

ojczyzny”. Była to wojna nieświadomionej generacji — i właśnie ta niezużyta wiara narodów w jednostronną sprawiedliwość stała się najgroźniejszym niebezpieczeństwem.

W ciągu pierwszych tygodni wojny 1914 roku coraz trudniej było o jakąś rozsądną rozmowę. Najspokojniejsi, najbardziej dobroduszni ludzie byli jakby pijani żądzą krwi. Moi przyjaciele, którzy podawali się zawsze za zdecydowanych indywidualistów, a nawet anarchistów duchowych, z dnia na dzień przemieniali się w fanatycznych patriotów, a z patriotów w nienasyconych aneksjonistów. Rozmowy kończyły się głupimi frazesami, jak na przykład: „Kto umie nienawidzić, ten nie umie prawdziwie kochać” lub ordynarnymi inwektywami. Koledzy, z którymi latami całymi nie miałem scysji, oskarżali mnie grubiańsko, że nie jestem już Austriakiem; powinienem przenieść do Francji czy Belgii. Co więcej, czynili nawet dyskretne aluzje, że o ludziach wyznających pogląd, iż wojna to zbrodnia, należałoby donosić władzom, gdyż „defetyści” — piękne to słówko zostało właśnie wynalezione we Francji — to najwięksi przestępcy wobec swej ojczyzny.

Pozostawało tylko jedno: wycofać się i milczeć, póki inni bredzą i szaleją. Nie przyszło mi to łatwo. Nawet na wygnaniu — o czym mogłem przekonać się do woli — nie jest tak źle, jak żyć samotnie we własnym kraju. W Wiedniu dawni moi przyjaciele odsunęli się ode mnie, a do szukania nowych czasy nie sprzyjały. Jedynie z Rilkiem prowadziłem od czasu do czasu rozmowy świadczące o głębokim wzajemnym zrozumieniu. Udało się i jego ściągnąć do naszego znajdującego się na uboczu archiwum wojskowego, gdyż absolutnie nie nadawał się na żołnierza z tą swoją nadwrażliwością nerwów: brud, smród, hałas przyprawiały go dosłownie o fizyczne mdłości.

Nie mogę powstrzymać się od uśmiechu, gdy przypominam sobie Rilkego w mundurze. Pewnego dnia ktoś zapukał do moich drzwi. Jakiś żołnierz stał u progu, trochę jakby niezdecydowany. Wystraszyłem się: Rilke — Rainer Maria Rilke w mundurze wojskowym! Był wzruszająco nieporadny; uwierał go ciasny kołnierz, a gnębiła myśl, że będzie musiał salutować każdemu oficerowi i trzaskać przy tym obcasami. Nie mogąc uwolnić się spod magicznego przymusu doskonałości we wszystkim, co czynił, starał się te nic nieznaczące formalności regulaminowe doprowadzić do perfekcji, co przyprawiało go o ustawiczne kłopoty.

„Tego munduru wojskowego nienawidzę jeszcze od czasów, kiedy byłem w szkole kadetów — mówił cichym głosem. — Miałem nadzieję, że pozbędę się go raz na zawsze. A teraz znów, jeszcze raz, w czterdziestym roku życia...”

Na szczęście znalazły się pomocne dłonie, które go obroniły. Dzięki badaniu przez życzliwych lekarzy został zwolniony od służby. Raz jeszcze przyszedł pożegnać się — tym razem już po cywilnemu — rzekłbyś, sfrunął do mego pokoju, tak nieopisanie bezszelestne były jego kroki. Chciał mi podziękować, iż przy pomocy Romain Rollanda starałem się uratować jego skonfiskowaną bibliotekę. Po raz pierwszy zauważyłem, że nie wygląda młodo, tak jak gdyby wyczerpała go i znużyła ta groza wojny.

„Za granicę! — westchnął. — Gdyby tak można było wyjechać za granicę! Wojna to więzienie.”

Potem odszedł. I znów zostałem sam.

Po paru tygodniach przeniosłem się i ja za miasto, na wieś,
postanowiwszy uciec przed tą masową psychozą i w pełni trwania
wojny rozpocząć swoją własną, osobistą wojnę przeciwko zdradzie
rozumu na rzecz powszechnego szaleństwa.

Tłumaczyła Maria Wisłowska

Pierwotnie tekst ukazał się nakładem Państwowego Instytutu
Wydawniczego w 1958 r.

[1] Boże, ukarż Anglię (niem.)



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 - 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego